

LISTY Z MARSA

„Naokoło Świata”,
nr 14 z 1925 roku

Helena Schmidt, skromna ekspedientka sklepowa zamieszkała w Genewie, doszła do smutnego wniosku, że nie jest panią swej woli. Stało się to pewnego wieczoru, gdy wzięwszy pióro do ręki, usiadła przy biurku, by napisać list do przyjaciółki. Po upływie kilku minut nagle poczuła, że ręka jej drętwieje. Przykre uczucie, podobne do ukłuć tyśiącem szpilek, ustąpiło wkrótce, ale pozostał bezwład prawego ramienia. Jeszcze chwila i oto dłoń Schmidtowny, zupełnie automatycznie, poczęła kreślić na papierze esy-floresy i osobliwe wzory.

Przerażona dziewczyna chciała rzucić obsadkę, lecz kurczowo zaciśnięte palce odmówiły posłuszeństwa. Pióro skakało w dalszym ciągu z szaloną szybkością, wybiegając poza arkusz, to znów wpadało z impetem na zapisane miejsce, dziurawiąc papier i jak gdyby domagając się świeżej kartki.

Nazajutrz rano Schmidtowna przyszła do sklepu silnie podniecona. Nawet tam, w gronie koleżanek, czekała ją nowa niespodzianka, świadcząca o istnieniu „ducha opiekuńczego”, który w przyszłości miał się jej przedstawić jako Leopold. Jedna z klientek zwróciła się do niej z prośbą o zdjęcie z półki sztuki tkaniny wełnianej. Helenka przystawiła stołek, weszła, wyciągnęła ręce po towar i w tej samej chwili poczuła w ramionach drętwotę. Zakłopotanej koleżance pospieszył z pomocą młody subiekt, lecz gdy szarpnął za materiał, z półki spadł młotek i ugodził go w głowę.

Młodzieńcowi nic się wprawdzie nie stało, Helenka jednak przyszła do przekonania, że nie należy lękać się objawów, które mogą jej wyjść na dobre. Tego samego dnia, po powrocie z magazynu, zabrała się do doświadczeń z pismem automatycznym.

Tym razem spod stalówki wyszło kilka liter, a poza tym nieprawdopodobna bazgralina. Dziewczynę bawiło to, iż nie potrzebowała nawet patrzeć na papier, a dłoń, jak gdyby wiedziona cudzą ręką, kreśliła skomplikowane rysunki bez najmniejszego sensu.

Po kilku dniach takich ćwiczeń zdumiona Helenka odczytała wreszcie pierwsze całkowite słowo, napisane bezwiednie. Było to imię męskie – Leopold. Podpis nie odznaczał się ani rozmachem, ani pięknnością charakteru pisma. Przypominał raczej pierwsze kroki analfabety. Ale po tym wypadku tajemniczy Leopold manifestował się już codziennie, zapisywał liczne arkusze papieru i nawet zaczął kleić zdania, przy czym litery stawały się coraz zgrabniejsze, a pismo nie przypominało ucznia ze wstępnej klasy.

Nie dość na tym. Schmidtowna zupełnie niechcący została poetką. Ołówek (gdyż po pewnym czasie zarzuciła pióro) kreślił skończone utwory rymowane, nie odznaczające się wprawdzie wielkimi zaletami, ale bądź co bądź wiersze, o których pisaniu nie miała dotychczas pojęcia. Co najciekawsze, to że podczas takich seansów charakter pisma Schmidtowny zmieniał się całkowicie. Ów Leopold był, jak się zdaje, „duchem” z dość odległych czasów, gdyż posługiwał się pisownią staroświecką i kaligrafował litery w sposób dziś niepraktykowany. Zamiast „avait” pisał „avoit”, zamiast „etait” – „estoit”, itd. Helenka przyzwyczała się wkrótce do niewidzialnego partnera i nawet gniewało ją, gdy ktokolwiek pozwolił sobie na żart niewłaściwy. Wierzyła święcie, że Leopold jest „duchem” zmarłego szlachcica, który interesuje się jej losem.

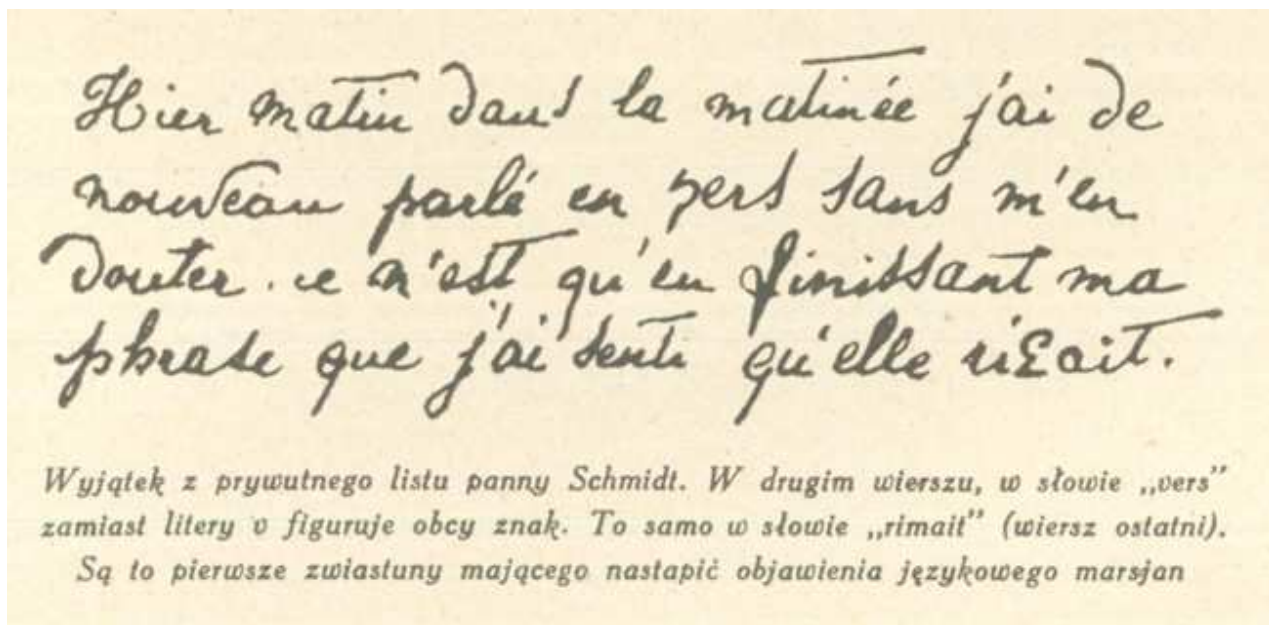
Cóż, kiedy po roku obcowania z wesołym Leopoldem, do seansów zaczęły się wtrącać inne istności, mniej dla Helenki ciekawe, gdyż niewładające językiem francuskim.

Pewnego razu dłoń Schmidtówny skreśliła jakieś dziwne znaki, których nikt z otoczenia nie mógł odcyfrować. Było to, jak się później okazało, pismo arabskie, pisane od prawej strony ku lewej. Prócz pisma arabskiego zaczęły się ukazywać inne znaki, mianowicie sanskryckie, oraz litery, których nie można było porównać z żadnym alfabetem współczesnym bądź starożytnym. W seansach nastąpił zamęt, Leopold zdradzał rosnącą figlarność. Następnie zaczęła się manifestować nieszczęsna królowa Maria Antonina, potem kilku Hindusów oraz tajemnicze osobistości z zaświatów, występujące pod imionami: Astane, Esenale, Matemi i Ramie. Ta czwórka posługiwała się nieznanym alfabetem, a teksty odczytywane przez Schmidtównę nie przyминаły ani sanskrytu, ani hebrajskiego, ani greki.

Sława medium szybko wzrastała. Kółka spirytystów zainteresowały się młodą ekspedientką i wkrótce Helenka zaczęła seansować w licznym gronie wielbicieli. Komunikaty zbierano skrzętnie i dołączano do protokołów, dzięki czemu udało się profesorowi Flournoy¹ zgromadzić bardzo obfity materiał.

Tajemniczy język, występujący na seansach, otrzymał od okultystów genewskich nazwę „Martien”, to jest pochodzący z Marsa. Dla uproszczenia nazwijmy go językiem M.

Profesor Flournoy, wykładający psychologię na uniwersytecie genewskim, potrafił w krótkim przeciągu czasu odtworzyć całkowity alfabet tego języka. Zawdzięczać to należy okoliczności, że Schmidtówna, pisząc cokolwiek poza seansami, zupełnie bezwiednie wstawiała dziwne znaki na miejsce liter francuskich. Podajemy kopię jej listu z dwoma błędami, których nie poprawiła, co najlepiej świadczy, iż pisała w stanie podświadomym. W słowie „vers” (wiersz drugi od góry) litera „v” jest zastąpiona przez obcy znak. To samo w słowie „rimait” (wiersz ostatni) zamiast „m” widnieje zagadkowa litera.



Dzięki owym lapsusom profesor stworzył alfabet, składający się z 26 znaków i porównał go z alfabetem łacińskim. Różnica polega na tym, że alfabet M posiada mniej li-

¹ Théodore Flournoy (1854–1920) opublikował w 1900 r. pracę *Des Indes à la planète Mars. Étude sur un cas de somnambulisme avec glossolalie*. Władysław Zambrzycki omawia tę właśnie książkę.

ter, natomiast ma znak specjalny na oznaczenie liczby mnogiej, posiada trzy rodzaje S (zwykle, tak zwane duże, stawiane na początku zdania, i S podwójne), poza tym ma tylko coś w rodzaju kropki, obchodząc się zupełnie bez przecinków, średników itp.

Odkrycie profesora pozwalało na fonetyczne studiowanie tajemniczego języka. Cóż – kiedy treść komunikatów stanowiła zagadkę nie do rozwiązania.

Z biegiem czasu Schmidtówna zaczęła zapadać w trans coraz głębszy. Obok mechanicznego kreślenia znaków wystąpiły wizje z głośnymi dialogami. Dzięki umiejętnemu kierownictwu udało się uzyskać tak zwane półtransy, podczas których medium odpowiadało na pytania kierownika seansu i pozostawało pod jego wpływem.

Stopniowo Schmidtówna zaczęła tłumaczyć komunikaty na język francuski i po pewnym czasie, dzięki pracy profesora Flournoy, powstał słownik języka M. Było to odkrycie tak dziwne i niepokojące, że na ten temat ukazało się w Genewie i Paryżu, niemal jednocześnie, kilka książek. W pismach poświęconych zagadnieniom psychicznym zawrzała gwałtowna polemika. Profesor nie poprzestał na słowniku, lecz jeszcze opracował gramatykę i pisownię. Dzięki transom młodej Helenki świata przybył nowy język, całkowicie odrębny od znanych i, co najważniejsze, niewiadomego pochodzenia.

Leopold, po niespełna rocznej przyjaźni z medium, zmienił się nie do poznania. „Duch” ten, jak się zdawało dobrze wychowany i grzeczny, zaczął się awanturować i wyprawiał takie brewerie, że Helenka „zerwała” z nim i wybrała na opiekuna... Wiktora Hugo! Figlarz Leopold poczuł się tym dotknięty i odtąd często dawał dowody złego humoru. Zajrzyjmy do protokołów, co o tym mówią uczestnicy seansów:

Duch Leopolda oznajmia o swym przybyciu. Przychodzi do panny Schmidt i zdradza chęci wywierania na nią wielkiego wpływu. Medium widzi go przez pewien czas. Jest to jakoby 35-letni mężczyzna, w czarnym ubraniu. Wyraz twarzy ma raczej dobroduszny. Na kilka pytań, jakie mu zadajemy, odpowiada, że znał pannę Schmidt w poprzedniej egzystencji, a obecnie nie życzy sobie, by przywiązywała się do kogokolwiek na tym padole.

W innym sprawozdaniu znajdujemy taki opis:

Jakiś duch objawia się dość energicznie. Jest to Leopold, Mówi nam: Przychodzę dziś sam i chcę rządzić... To nas peszy, gdyż nie można po nim spodziewać się poważnych objawów. Widzimy, że usiłuje uśpić pannę Schmidt, jak to już raz zrobił. Medium walczy z ogarniającą je sennością. Nie chcąc ulec, wstaje od stolika i oddala się na 10 minut, w nadziei, że Leopold odejdzie, ustępując miejsca innym duchom. Ale ani dobrocią, ani szorstkimi słowami nie możemy go zmusić do porzucenia naszego towarzystwa. Wobec uporów zdajemy sobie sprawę, iż usiłowania nasze są daremne. Przerwywamy seans.

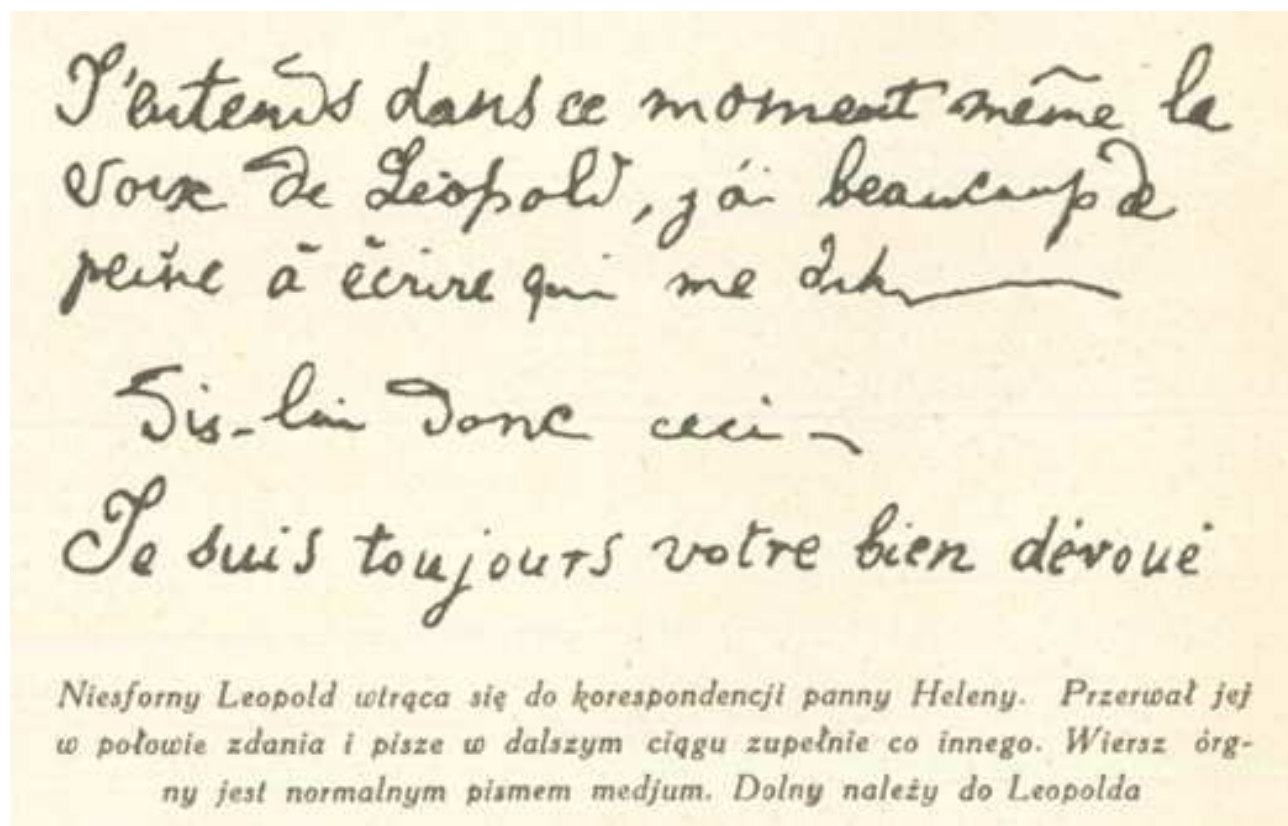
W innym miejscu czytamy:

Zjawia się Leopold. Staramy się przemówić mu do rozsądku. Jeżeli nas odwiedza, to niechże przychodzi jako przyjaciel, a nie jak dyktator. Jest dostrzegalny, Przechadza się dokoła stołu i daje nam przyjazne znaki ręką.

Przemawia Wiktor Hugo. Pytamy o pannę Schmidt. „Nie pozwalajcie jej nigdy zasypiać!” – odpowiada. Budzimy medium, gdyż głęboki sen niepokoi nas bardzo. Mieliśmy dużo trudności z rozbudzeniem...

... zirytowany Leopold dwukrotnie wysunął spod medium krzesło i rzucił w róg pokoju. Panna Schmidt padła ciężko na podłogę i stłukła sobie kolano, wskutek czego przez kilka dni kulała. Musieliśmy przerwać seans. Skąd takie animozje?

Tak wygląda Leopold po rocznej przyjaźni z panną Heleną. Co najciekawsze, to że niesforny ten duch zaczął się podawać za Józefa Balsamo(!), co do reszty wyrobiło mu opinię blagiera.



Profesor Flournoy niezbyt się interesował Leopoldem, chodziło mu jedynie o zbadanie tajemniczych liter i dlatego urządził szereg seansów, na których starał się utemperować natrętnego urwisa. Nie udało mu się to całkowicie, jednak Leopold spoważniał nieco i zachowywał się znośnie.

Medium nigdy nie bywało sztucznie usypiane. Wszystkie seanse zaczynały się od towarzyskiej pogawędki. Helenka sama doskonale wiedziała, kiedy należy przerwać rozmowę. Oczekiwanie trwało zwykle kilkanaście minut, nigdy ponad godzinę. Trans przeciągał się czasami dość długo, nawet do dwóch godzin. Schmidtówna ulegała woli dra Flournoya, jeśli nie wmieszał się do sprawy Leopold, lub jaki inny intruz.

Przebudzenie następowało po ukazaniu się pewnych oznak charakterystycznych. Oczy medium, zamknięte podczas transu, otwierały się z wysiłkiem. Rozszerzone źrenice nie reagowały na światło. Twarz była nieruchoma, bez żadnego wyrazu.

– Obudź mnie...

Kierownik seansu brał ją za rękę i rachował do trzech. Był to umówiony sygnał. Przy słowie „trzy!” martwą twarz rozjaśniał uśmiech, powieki zaczynały drżeć, Helenka przytulała głowę do poduszki, kryjąc oczy przed rażącym światłem.

Częstokroć przebudzenie bywało tylko chwilowe. Wtedy, zupełnie nieoczekiwanie, dziewczyna wpadała w trans spontaniczny. Oczy zamykały się, wyraz twarzy stawał się podobny do maski woskowej, głowa zwisała bezwładnie.

Materiały dotyczące języka M zbierano podczas kilkudziesięciu seansów. Oto przebieg jednego z pierwszych posiedzeń, na których panna Schmidt zaczęła przemawiać w niezrozumiałym języku.

Trans głęboki, połączony z katalepsją. Po kilkuminutowym bezwładzie Helenka powstaje z otomany i postąpiwszy kilka kroków na środek pokoju, zaczyna wyrażać mimiką podróż na Marsa. Porusza miarowo rękami, co ma naśladować fruwanie (atmosfera ziemska), następnie stoi bez ruchu (próżnia międzyplanetarna) i wreszcie znów lot na skrzydłach, uwieńczony szczęśliwym wyładowaniem. Oczy medium są zamknięte. Usta szepcą jakieś niezrozumiałe wyrazy, których brzmienie można jednak notować. Profesor zadaje pytania po francusku, na co otrzymuje odpowiedzi w obcym języku.

Wszystkie słowa są skrzętnie notowane pisownią fonetyczną. Między innymi pochwycono zdanie: „Dode ne si haudan te mesze metisze astane ke de me wesze...”.

Patrząc w otwarty notatnik, profesor Flournoy kładzie dłoń na czole medium i woła tonem rozkazującym:

- Co oznacza słowo „dode”?
- Dode znaczy oto.
- A „ne”?
- Jest.
- A „si”?
- Tam.

Słowo po słowie całe zdanie zostaje przetłumaczone. Ma ono oznaczać: „Oto jest (tam) dom wielkiego człowieka Astane, który ty widziałeś”. (Medium miało na myśli rysunek wykonany w transie podczas poprzedniego seansu).

Przed obudzeniem się Helenka powiedziała na zakończenie: „Astane naucz mnie pisać”.

Tajemnicza Astane spełniła obietnicę.

Pewnego wieczoru Schmidtowna zatelefonowała do profesora, że w sklepie, podczas przerwy obiadowej, miała widzenie. Otoczyły ją cztery postacie, a każda z nich trzymała w dłoni tabliczkę pokrytą znakami. Miało to być pismo mieszkańców Marsa.

Na seansach, które nastąpiły po tym wypadku, Leopold kilkakrotnie przemawiał przez usta Heleny, obiecując, że chwila objawienia alfabetu Marsjan jest bliska. Wreszcie na seansie u profesora, podczas gwałtownej ulewy, pogrążona w półtransie Schmidtowna krzyknęła nagle: „O, widzę ich, idą do mnie z tabliczkami!”.

Profesor włożył jej do ręki ołówek i podsunął papier. Zaczęła kreślić gorączkowo dziwaczne znaki, podając jednocześnie ich brzmienie. Spoglądała co chwila w przestrzeń i uśmiechała się do niewidzialnych dla otoczenia istot.

– Już ciemno – zawołała wreszcie Helenka – więcej nic nie widzę.

Po przyjsciu do przytomności, gdy jej pokazano zapisany papier, oświadczyła:

– To są te same znaki, które widziałam w sklepie.

Dopiero po upływie trzech tygodni od tego wypadku Schmidtowna zaczęła biegle pisać w języku M. Nigdy nie podawała się za autorkę. Twierdziła zawsze, że ręką jej kieruje jedna z postaci, które po raz pierwszy ujrzała podczas wizji.

I rzeczywiście, pobieżne zbadanie załączonych tekstów, pisanych jakoby pod inspiracją Astane, Matemi, Esenale i innych Marsjan, pozwala ustalić znaczne różnice w charakterze pisma. Niektóre komunikaty są skreślone jak gdyby ręką kobiecą, inne znów składają się z wielkich znaków, rozstawionych szeroko. Pozwolimy sobie przytoczyć kilka słów w języku M, przy czym będziemy się posługiwali pisownią polską (fonetyczną):

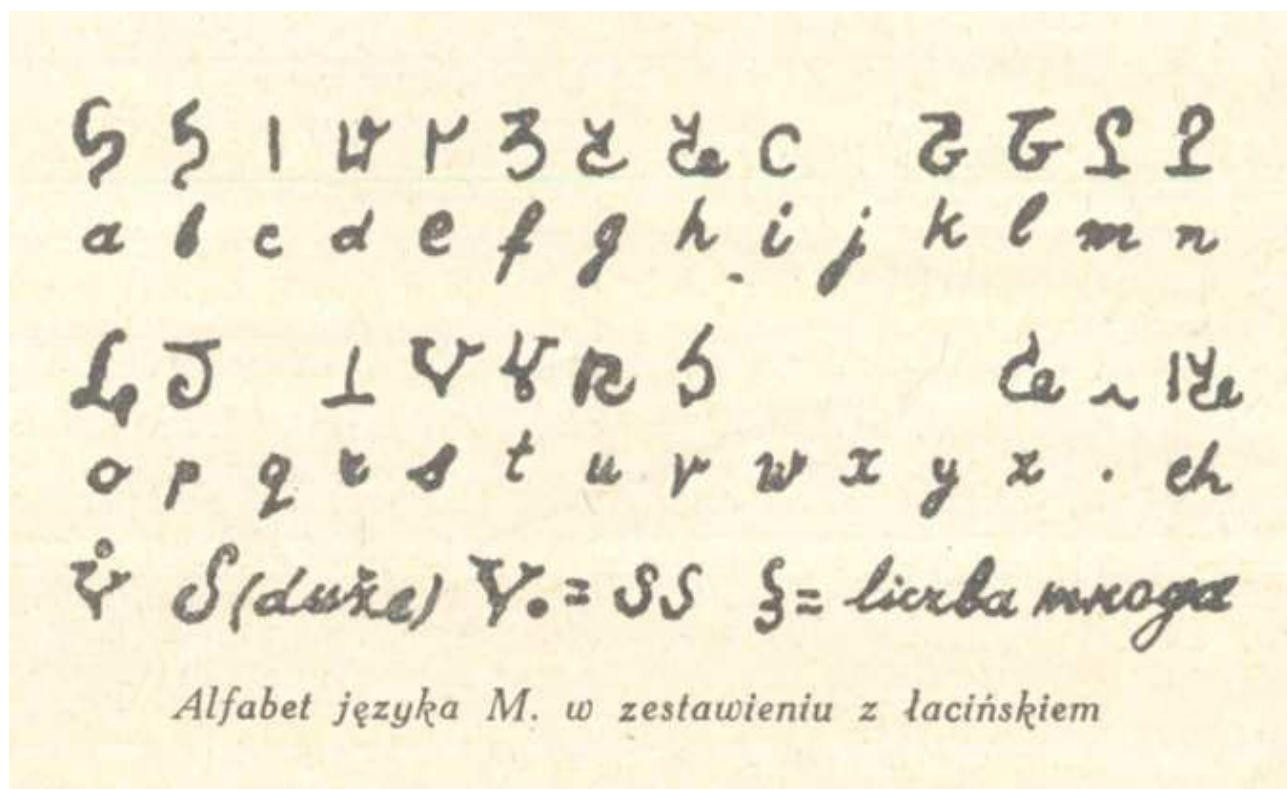
Mode ine se di kawuicze ni ewe sze kine line.
Matko droga, ja cię poznaję i jestem twoim małym Line.

I mode mete mode, mode ine palette
O matko, droga matko, matko bardzo kochana.

I kisz te ti si ke di ewe etesze mene ize beneze
O czemu obok mnie (tam) nie (ty) jesteś zawsze przyjaciółko wreszcie odzyskana.

Ames mis tense lade ti ames ten tiwe awe men kume je sze peleze.
Przyjdź na chwilę ku mnie, przyjdź do... starego przyjaciela stopić cały swój smutek.

Z powyższych przykładów widać, że język „mieszkańców Marsa” niezbyt odbiega od języków indoeuropejskich. Te same dźwięki, alfabet równie ubogi jak w łacinie, deklinacja podobna do francuskiej. Profesor Flournoy wyraża się bardzo ironicznie o podróżach Schmidtówny na inne planety. Wszystko to uważa za wytwór bujnej fantazji i gani spirytystów genewskich, którzy zbyt pochopnie wysuwają wnioski, przez co mimowolnie inspirują medium.



Analiza języka M wykazuje, że spośród samogłosek litera „e” powtarza się najczęściej (około 40%,) następnie „i” – 34%, wreszcie „a” – 16%, gdy tymczasem „o”, „u” oraz dźwięki nosowe składają się na pozostałe 10%. Alfabet Marsjan ma specjalny znak na wyrażenie liczby mnogiej, czego nie spotykamy w innych językach.

Obok języka M, panna Schmidt może się pochwalić niezwykle bogatym „dorobkiem” mediumicznym. Brak miejsca nie pozwala nam na podanie szczegółów o wszystkich dziwach, jakie zaobserwowano na seansach z tym fenomenalnym medium.

Helenka miewała swe fazy, które można dość ściśle scharakteryzować. Pierwsza dotyczy języka M. Druga faza, hinduska, podczas której Helenka przemawiała w sanskry-

cie i pisywała alfabetem dévanâgari. Wreszcie trzecia, tak zwana faza królewska, charakteryzuje się inkarnacją Marii Antoniny. Poza tym można wyliczyć przypadkowe inkarnacje i komunikaty w innych językach, na przykład w arabskim.

Na zakończenie przytoczymy w streszczeniu protokół z ciekawego seansu, spisany przez profesora Flournoy'a dotyczący dwu wypadków inkarnacji;

Seans odbył się u mnie. Panna Schmidt wpada w trans i natychmiast oznajmia, że widzi niewielkie miasteczko otoczone winnicami. Po kamienistej ścieżce idzie staruszek. Ma buty zapięte na guziki i kapelusz o szerokim rondzie. Szczupła twarz wygląda spoza wysokiego kołnierzyka, zasłaniającego całkowicie policzki. Wieśniak, który go mija, zgina się do ziemi, jak przed osobą na wysokim stanowisku. Staruszek wita kmiotka dobrym słowem. Rozmawiają w dialekcie chłopskim, którego medium nie rozumie.

Nagle Helenka, opowiadająca dotychczas spokojnie, woła zmienionym głosem:

– Zegnij jej rękę!

Aha, to Leopold wtrącił się do rozmowy.

Stosuję się do wskazówek. Dziewczyna opiera się rozpaczliwie, lecz w końcu ulega. Wkładam jej ołówek między palce. Po chwili, zwracając się do niewidzialnego starca, który jakoby chce się posługiwać przy pisaniu jej ręką, Schmitówna mówi, krzywiąc się boleśnie:

– Pan mi za bardzo ściska rękę... to boli... o, teraz dobrze!

Namyśla się chwilę, rzuca ołówek, bierze pióro i podpisuje: „Chaumontet syndic”.

Po kilku minutach zjawia się ponownie jeszcze wyraźniejsza wizja owego miasteczka. Nalegam, by Helenka spróbowała przenieść się ku rogatom i odczytać napis na drogowskazie. Zgadza się i czyta: „Chassenaz”.

Wobec takich rezultatów, zwracam się do niej z prośbą, by zapytała starca o rok. Odpowiada: „1839”.

Wizja znika. W Helenkę wciela się całkowicie Leopold i właściwym sobie tubalnym głosem, o wybitnym akcencie włoskim, zaczyna dialogować. Przerывam mu pytaniem – co może powiedzieć o ostatniej wizji medium.

Helenka-Leopold (gdyż tworzą w tej chwili jedną całość) wskazuje palcem kierunek na Fort-de-l'Ecluse.

– Szukaj tam – mówi – tam znajdziesz dowód, znajdziesz listy z podpisem tego starca.

Medium po odzyskaniu przytomności nic nie pamięta. Wyjmuję z biurka mapę kantonu i szukam we wskazanym kierunku. W odległości 26 kilometrów od Genewy znajduję miasteczko Chassenez.

Po dłuższej przerwie panna Schmitówna wpada w trans po raz trzeci i widzi tego samego starca idącego w towarzystwie proboszcza. Starzec przemawia do księdza; „Mon cher Burnier”. Proszę Helenki, by pozwoliła proboszczowi podpisać się jej ręką. Po długim wzdraganiu zgadza się, chwytając pióro i pisze: „Burnier salut”.

Profesor Flournoy nie poprzestał na gołosłownych zapewnieniach Leopolda, lecz niezwłocznie wystosował list do merostwa Chassenez z prośbą o jak najszybszą informację. Po dwu dniach otrzymał odpowiedź, napisaną własnoręcznie przez mera p. Saunier:

W latach 1838 i 1839 – pisał p. Saunier – syndykiem Chassenez był Jan Chaumontet, którego podpisy figurują na wielu dokumentach. Miasteczko nasze miało wtedy za proboszcza zacnego księdza Andrzeja Burnier. W jego podpis są zaopatrzone wszystkie ówczesne akta chrztu, ślubu i śmierci.

Wraz z tym listem profesor otrzymał z merostwa próbki autografów, których kopie zamieszczamy wraz z kopiami podpisów, skreślonych ręką Heleny Schmidt.

Burnier salut

ce vingt et un de mai je certifie
à tous ceux à qui la connoissance
appartient que je suis

Burnier
curé de Chessoz

Podpis proboszcza Burnier wykonany przez medjum w transie (u góry) i podpis autentyczny na dokumencie nadesłanym z merostwa Chassenez

Czytelnicy będą łaskawi porównać. Powstrzymujemy się od wysnuwania jakichkolwiek wniosków, gdyż zbyt pochopność prowadzi w tych wypadkach na manowce.

W. Z-cki